

Żywoty owsików, czyli na ratunek krajowi

ANDRZEJ CHODACKI

W sali panował przyjemny chłód. Klimatyzacja pracowała bezgłośnie, czyniąc posiedzenie rady kryzysowej choć odrobinę znośnym. Poseł Bałamut zastanawiał się, czy sutki posłanki Pszczoły, młodziutkiej Minister Sportu, twardnieją pod sukienką, ale pozostał zawiedziony.

– Cholerne staniki z puszapem, trzeba wprowadzić ustawę antypuszapową – rozmyślał rozgoryczony Bałamut, nie mogąc wyjść z podziwu nad figurą Pszczoły z talią osy – ech, pobzykałoby się.

Tymczasem posłanka Pszczoła, jako świeżo upieczona minister, zachodziła w głowę, czy wydłużenie w kroku przyniesie większy pożytek Justynie czy Adamowi. Szczerze mówiąc, ciągle miała kłopoty z połapaniem się w tych wszystkich dyscyplinach sportowych. Nominacja spadła na nią nagle i zastała w rozpiętej garsonce, w której pozowała do zdjęć reklamowych kampanii wyborczej. O ile jednak rozpinanie bluzki do zdjęć reklamowych stanowiło czynność banalnie prostą, to powiedzenie paru mądrych zdań o sporcie było o wiele trudniejszym zadaniem. W ogóle, to nie lubiła sportu. No, ale cóż. Obowiązek wobec ojczyzny jest prawem nadrzędnym. A przynajmniej tak brzmiał slogan z jej wyborczego plakatu. Postanowiła więc robić to, co umiała najlepiej. Wkładała kuse sukienki opięte szczelnie wokół prężnych piersi i prezentowała ekipę premiera w najbardziej korzystny sposób. Reakcja posła Bałamuta była najlepszym dowodem na to, że jej wysiłki zostały zauważone. Jednym słowem odpowiedni człowiek na odpowiednim stanowisku.

Siedzący na końcu długiego stołu premier właśnie kończył ostatnie analizy z doradcami i chrząknął znacząco na znak, że zamierza rozpocząć kryzysowe posiedzenie. Doradcy, dorabiający po godzinach jako rządowi klakierzy, wycofali się taktownie, a premier stuknął w mikrofon, sprawdzając nagłośnienie.

– Szanowni państwo, rozpoczynam obrady sztabu kryzysowego – zabrzmiał jego głos, przerywając szum rozmów. – Jak zapewne państwu wiadomo, unijny kryzys obejmuje powoli także nasz kraj, więc dalsze udawanie, że nic się nie dzieje, nijak się ma do wzrostu cen żywności i paliw. Musimy wziąć się ostro do roboty, bo nastroje społeczne wskazują na duże niebezpieczeństwo wybuchu ulicznych protestów. Będę kolejno oddawał głos specjalistom branżowym, którzy, mam nadzieję, przygotowali na dzisiejsze posiedzenie propozycje rozwiązań systemowych. Zaczniemy od minister zdrowia, posłanka Niezgoda, bardzo proszę.

– Panie premierze, szanowni państwo – zaczęła posłanka, wkładając na nos grube okulary – nie od dziś wiadomo, że popyt społeczeństwa na tanie leki i procedury medyczne przewyższa znacznie możliwości, którymi dysponuje rząd, a z jego ramienia Narodowy Fundusz Zdrowia.

Szmer dezaprobaty przetoczył się po zacnym zgromadzeniu, jakby chciało ono, jak nigdy, jednym głosem orzec, że takie bzdety to może posłanka opowiadać mediom, tu trzeba konkretów. I już po chwili przerwy konkrety zaczęły padać z siłą osławianego w reklamie wodospadu.

– Biznesmen powie „czas to pieniądz”, kardiolog mawia „czas to mięsień”, ja mówię dziś „refundacja to pieniądz”. To tu tkwi największe zagrożenie dla służby zdrowia naszego kraju. Za dużo marnotrawimy pieniędzy na refundację leków. To trzeba ukrócić!

Ostatnie słowa minister wybrzmiały jak twarde warunki bezwzględnej kapitulacji.

– Zapewne pani minister ma jakieś gotowe propozycje? – rzucił premier z nadzieją, bo temat był nieświeży i jako taki zaczynał cuchnąć.

– Oczywiście, panie premierze – z pobłażaniem dla niecierpliwego przełożonego wyraziła się posłanka, po czym rozpoczęła swój taniec. – Sto pięćdziesiąt tysięcy lekarzy, każdy chce refundować. Nie muszę nikomu przypominać, że to setki milionów przepuszczone przez zachłanne przewody pokarmowe pacjentów i lądujące w szambie. Proponuję wprowadzić ustawę, która przewiduje dla lekarzy kary więzienia za błędy w refundacji, np. osiem lat więzienia bez zawiasów... – Tu zawiesiła głos, delektując się szumem krytyki, który podniósł się na sali.

Premier uciszył zebranych ruchem ręki.

– No, ale zaraz się zbuntują i pozamykają gabinety – wyraził swą wątpliwość, pocierając tyse czoło.

– To możliwe, dlatego po miesiącu wycofamy ustawę – dodała pewnym głosem Niezgoda – i wprowadzimy umowy z lekarzami na refundację leków, w których zawrzemy duże kary finansowe za refundowanie czegokolwiek. Dodatkowo we wskazaniach do refundacji należy wnieść zapisy tak rozbudowane i niespójne, by przeciętny lekarz z braku czasu lub strachu przed karami sam zrezygnował z refundowania. Gwarantuję, że siedemdziesiąt procent lekarzy nie podpisze nowych umów, a w budżecie zostanie kilkaset zaoszczędzonych milionów.

Posłanka rzuciła papiery na stół i spojrzała z satysfakcją na wybrańców narodu, jakby chciała zapytać „I co, przebijecie mnie?”.

– Propozycja jest bardzo obiecująca – twarz premiera rozjaśniła się uśmiechem, gdy pomyślał o milionach, które bez certolena będzie mógł wydać na nowe limuzyny – to może się udać. Jedno pytanie, pani minister, co z pacjentami? Ostatecznie obiecałem im w exposé tanie leczenie i takie tam... – Tu zamachał ręką, jakby mówił o sposobach na uzdrowienie ekstraklasy piłki nożnej.

– To także przewidziałam – zerknęła na niego Niezgoda, obniżając okulary na nosie – rozbudujemy instytucję rzecznika praw pacjenta i damy narzędzia prawne, by bez opóźnień pozywać lekarzy do sądu za pominięcie na recepcie należnej pacjentom refundacji. W ten sposób, czy lekarze będą refundować, czy nie, pieniądze i tak spłyną do budżetu.

Minister zdrowia ostatecznie zatrasnęła notes i rozparła się z ulgą w fotelu.

– Trzeba przyznać, pani minister, dobra robota – pochwalił ją premier, zastanawiając się przez chwilę, czemu sam wpadł na coś tak genialnego. – A co ma do zaproponowania minister pracy?

Jegomość w czarnym garniturze przebudził się właśnie z drzemki i mlaskając, podrzucił spory brzuch zawieszony przed nim na pasku.

– A więc, panie premierze, szanowni koledzy, powiem krótko: młodych pognać za granicę, odbierając im wszelką pomoc w znalezieniu pracy, pracującym wydłużyć wiek emerytalny do osiemdziesięciu lat, dzięki temu zniknie całkowicie problem wypłacania emerytur.

Tu głos ministra się zachwiało, jakby po nagłym przebudzeniu wypowiedział tę kwestię niepotrzebnie, za wcześnie. Cała sala zamilkła na moment, by po chwili wybuchnąć burzą komentarzy. Premier znów uciszył zgromadzonych i znacząco spojrzał na ministra.

– Nie spodziewałem się tego po panu – zaczął, a minister zapadał się w fotel z każdym następnym słowem.

– Tyle wpadek w ostatnim okresie, tyle niedociągnięć w pana resorcie, a tu... – premier przerwał na chwilę, kręcąc głową – genialna myśl i doskonale rozwiązanie rehabilituje pana całkowicie w moich oczach!

Koledzy siedzący obok ministra pracy pomogli mu wydostać się z czeluści fotela, poklepując go po ramieniu, gdy ten uśmiechał się głupawo. Oto los okazał się łaskawy także dla niego. Pochwała przed całym sztabem kryzysowym!

– Wygląda na to, że resorty są doskonale przygotowane do dzisiejszego spotkania – zadowolony premier spojrzał w kierunku miejsca, gdzie siedział tysiący dżentelmen w idealnie skrojonym garniturze.

– Co na to wszystko powie pan minister finansów? – premier zwrócił się do niego tonem jak najbardziej uprzejmym. Uprzejmość była tu na miejscu, ponieważ właśnie ten człowiek decydował o zakupie rządowych limuzyn.

Dżentelmen spojrzał na dokumenty leżące na stole, po czym, zdejmując okulary, potoczył dumnym spojrzeniem po obecnych. A miał z czego być dumnym. Ostatecznie był poddany jej królewskiej mości królowej angielskiej. A obywatelstwo kraju, w którym kierował ministerstwem finansów, traktował jako przykry incydent przed objęciem obowiązków głównego skarbnika bananowej republiki. Swoje dzieciństwo minister spędził na Mauritiusie, potem studiował w najlepszych europejskich uczelniach. Idąc w ślady dziadka, pragnął przede wszystkim zarządzać wielką fortuną. Niestety, wszystkie kluczowe stanowiska finansowe wyspiarskiego królestwa były już zajęte. Zgodził się więc ostatecznie objąć urząd w biednym kraju, którego nawet nie starał się zrozumieć. Poduczył się języka i przyjął propozycję, nie zapominając, gdzie jest jego prawdziwa ojczyzna.

– Mr. prime minister, wysoka izba – rozpoczął przemowę, nie przejmując się angielskim akcentem – uznałem, że teraz jest najlepszy time do likwidacji ulg podatkowych w kraj. Ludzie siedzą przed telewizor, oglądają mistrzostwa w piłka nożna, nie będzie protest. Ja przygotowałem projekt ustawy, proszę się zapoznać.

Asystenci zaczęli rozdawać teczki z dokumentami wśród zgromadzonych na sali polityków. Nikt nie odważył się zająć stanowiska. Ostatecznie kto chciałby ryzykować otwarte starcie z angielską koroną. Minister finansów lekceważąco złożył ręce w gest „wiem wszystko”, tu interpretowany jako „wiem wszystko, bando kmiotków”. Jego mina wyraźnie świadczyła o tym, że nikt mu tu nie podskoczy. I nikt nie podskoczył. Ulgi dla bogaczy pozostały, ulgi dla biedaków i rodzin wielodzietnych nikogo tu obchodzą. Rozmowy potoczyły się dalej swoim utartym torem naoliwionym mydłem, jak znane wszystkim miejsce, gdzie gromadzą się owsiki.

– Pozostało nam jeszcze MSW i drogi krajowe z autostradami. Co ma do powiedzenia szef MSW? – zapytał premier, czując, że poparcie dla projektu ministra finansów wyraźnie zbliża go do przyjemności jeżdżenia luksusową limuzyną za czterysta tysięcy.

– Powiem krótko, panie premierze – rzucił energicznie przystojny czterdziestolatek z idealnie wygładzoną fryzurą – proponuję wprowadzić ograniczenia na drogach do trzydziestu kilometrów na godzinę, co trzy kilometry fotoradar. Obliczyliśmy, że wprowadzenie czterdziestu tysięcy nowych fotoradarów zwróci się w ciągu pierwszego miesiąca łapania piratów drogowych, którzy przekroczą dozwolone trzydzieści kilometrów na godzinę. Zgodnie z pana poleceniem, panie premierze, rozbudowałem administrację o czterdzieści procent, a A2 zamkniemy zaraz po mistrzostwach, bo jeszcze się ktoś rozpędzi i będzie nieszczęście. To wszystko.

Zapadła chwila ciszy. Jeden z posłów przeliczał, ile zarobi na radarach, bo kontrakt na ich sprzedaż miała w kieszeni jego żona. Drugi pomyślał, że ma immunitet, więc wał go radar. Ktoś rozpatrywał poprawę stanu autostrady A2 od Łodzi do Warszawy, a zupełnie przypadkiem w przyszłym tygodniu przetarg na tę budowę ma wygrać jego szwagier. Po tym ułamku sekundy, w którym wybrańcy narodu zorientowali się, że żadna z proponowanych ustaw antykryzysowych nie godzi w ich interesy, zerwały się gromkie oklaski. Nie klaskał tylko minister finansów. A nie klaskał z tych samych powodów, dla których nie klaszcze się pilotom królewskich sił powietrznych, gdy łagodnie posadzą wypełnionego ludźmi boeinga na płycie lotniska. Ostatecznie przecież Anglicy robią wszystko najlepiej.

A owsiki powinny znać swoje miejsce.